

# Jan Hartman

---

## Homo inutilis

---

Etyka 42, 45-49

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## *Homo inutilis*

Chciałbym w swoim wystąpieniu scharakteryzować stan aktualny, tzn. powiedzieć, w jakiej sytuacji społecznej czy socjologicznej znajduje się wykładowca lub autor, a następnie powiedzieć, jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy. Na koniec poczynię pewne uwagi na temat możliwych sposobów poprawy sytuacji.

Zacznę od opisu. Oto istnieje pewna grupa zawodowa, wykładowców czy nauczycieli filozofii, którzy są częścią szerokiego środowiska akademickiego. Przedmiot, który wykładają, ma niską i stale malejącą rangę, jakkolwiek nie jest w ogólności w kanonie wykształcenia europejskiego przedmiotem zagrożonym, a to ze względu na dość silny sentyment oraz dlatego, że udało się w ciągu XIX i na początku XX wieku przekonać szerokie rzesze ludzi wykształconych, że obok kanonu literackiego, kanonu sztuki oraz dokonań naukowych istnieje także kanon literatury filozoficznej, w którym znajdują się rzeczywiście wielkie nazwiska. Skoro zaś kanon jest uznawany, to tym samym uznaje się również, że potrzebni są ludzie opiekujący się dziedzictwem filozoficznym. To jest powód, dla którego nauczanie filozofii jest utrzymywane i — jeżeli zbyt daleko odchodzimy od nauczania filozofii w trybie historycznym, czyli od strzeżenia dziedzictwa Platona, Arystotelesa itd., to ryzykujemy, że bardzo szybko zostaniemy ze szkół czy z uczelni usunięci.

Niektórzy filozofowie są autorami książek, które mają wartość akademicką, tzn. są rzetelnymi monografiami jakiegoś tematu, należą do szeroko rozumianej historiografii i filologii. Niektórzy piszą także przyczynki, które mogą być interesujące w niektórych środowiskach naukowych, jakkolwiek nie zawsze jest z tym dobrze i lepiej, gdy piszą te przyczynki pod innym szyldem niż filozofia. Tylko niewielka część środowiska filozoficznego to ludzie pióra, którzy są na tyle dobrze wyszkoleni w pisaniu, że produkują dobre eseje na różne tematy, nie tylko filozoficzne, powołując się na filozofię od czasu do czasu. Ci ludzie mają szczęście, gdy zdobywają dobrych wydawców lub gdy wiążą się z dobrymi mediami, wyrabiającymi im nazwisko i czerpiącymi potem z tego pewne korzyści. W taki sposób pod szyldem filozofii i filozofię rozsławiając działa w Polsce i za granicą parę osób. Do tego dołącza się jeszcze kilka osób przypadkowych, które nie mają żadnego dorobku, ale osobiście znają paru dziennikarzy i należą przez to do osób „przepytywanych”. Ci ludzie to społeczna i medialna reprezentacja środowiska filozoficznego. Może ona

być lepsza lub gorsza. Zwykle te osoby, które uzyskują popularność dzięki pracy w mediach i dzięki wydawcom, nie należą do „gorszych”, lecz do tych „lepszyc” w środowisku. Są zwykle autorami jednej czy dwóch lepszych książek, choćby to było kilkadziesiąt lat wcześniej. Na ogół wyróżniają się tym, że umieją efektownie występować, mają coś sensownego i prostego do powiedzenia na różne ważne tematy i chętnie współpracują z mediami i wydawcami — są „medialni”. W ten sposób powstają autorytety, społeczno-medialne, wokół których zawsze kręci się trochę snobów — ale to dobrze, bo potrzebujemy autorytetów. Czasem się też zdarza, że filozof, z powodu braku ekspertów, jest pytany o zdanie bardziej na serio. Jednakże nie bywa tak, aby filozof uzyskiwał autorytet równy temu, jakim cieszy się uczone, tzn. ekspert w zagadnieniach poznawczych. Nigdy filozof nie jest tak traktowany (chyba że przy okazji ma jakieś wykształcenie naukowe). Jeżeli więc treści ogólne i istotne — czyli filozoficzne — znajdują się w wypowiedziach naukowców, to z miejsca uzyskują większy posłuch i autorytet — niż takie same i nawet lepiej ujęte treści wypowiedziane przez profesora filozofii. Jeżeli książkę filozoficzną napisze profesor medycyny, będzie miał około stu razy więcej czytelników niż gdyby podobną książkę, nawet lepszą, napisał filozof — dajmy na to nawet ja. Tak już po prostu jest, tak zostanie i niczego tutaj nie zmienimy. Filozof mający najlepszą pozycję społeczną to jest osoba, która ma coś otworzyć, coś uświetnić, zamknąć, przemówić na pogrzebie, w sytuacjach społecznej celebry, gdzie przez chwilę odgrywa ważną rolę — jakoś wyróżnioną, choć nie jest to rola autorytetu poznawczego. Czasem filozof może też pełnić rolę outsidera, komentatora, satyryka, *enfant terrible*, któremu więcej wolno powiedzieć. To wszystko razem tworzy jednak konfigurację mało czytelną dla świata zewnętrznego. Filozof, który raz może być mędrce, a drugi raz może być prześmiewcą, czasem bywa ekspertem, czasem historykiem, jest dla zewnętrznego świata zupełnie niespójną i nieczytelną konstrukcją. To, co powstaje w naszych głowach na dźwięk słowa „filozofia”, generalnie nie powstaje w głowach szerszej publiczności. Tutaj jest pewien dysonans poznawczy i nieporozumienie. Oczywiście ci, którzy uzyskują pewną popularność medialną, mogą posługiwać się słowem „filozofia” oraz retoryką zogniskowaną na tym słowie, chociaż szeroka publiczność domyśla się już, że to jest tylko słowo „perswazyjne” o dużym ładunku retorycznym, że ciągną się za tym słowem pewne dwuznaczne pretensje do autorytetu, przeplatane z ironią i autoironią. Można przypuszczać, że po upływie kilkadziesiątu lat słowo to ulegnie całkowitej dewaluacji, tak jak to już stało się w Ameryce. My jesteśmy takim pokoleniem, które może sobie jeszcze taki tradycyjny użytek ze słowa filozofia zrobić. Cała subkultura zwana filozofią już się wszelako kończy i niebawem trzeba będzie mówić na temat, a nie „o filozofii”. Niedługo te wszystkie retoryczne funkcje słowa filozofia wytrą się i wypalą.

Jak doszło do tego, że się w takiej schyłkowej i dekadencjonalnej sytuacji znaleźliśmy? Zdecydowały o tym poczynania naszych przodków z przed mniej więcej stu lat, którzy stanęli w bardzo trudnej sytuacji. Oto bowiem powstały nauki przyrodnicze

i humanistyczne, które usamodzielniały się — i trzeba było filozofom jakoś odnaleźć się na tym odmienionym uniwersytecie. Powstały dwie możliwości i obie zostały jednocześnie wykorzystane. Jedna polegała na tym, by adaptować metodologię nauk historycznych i filologicznych. Zaczęto uprawiać filozofię na podobieństwo teorii literatury — jako opowieść o różnych ważnych książkach, jakie dotąd pisano, opowieść zawierającą elementy krytyki filologicznej i krytyki historycznej. Generalnie jednak było to omawianie dorobku literackiego. Ta metodologia została bardzo szeroko zaadaptowana we Francji, Niemczech i także w Polsce. Do dzisiaj jest ona podstawą budowania kariery naukowej, nadawania stopni — to jest bowiem ta metodologia, która daje filozofii alibi naukowości. Filozofia szuka więc dla siebie identyfikacji naukowej i akademickiej w zakresie narzędzi filologicznych i historycznych, które wszelako dla samego dyskursu filozoficznego są uboczne i niezbyt ważne. Zaszliśmy w tym procesie „uliteraturnienia” filozofii zbyt daleko. Tych książek, monografii, omówień itd. powstało już za dużo i daje się zauważyć pewien przerost. To musi się prędzej czy później skończyć, tym bardziej że owa „subkultura hermeneutyczna” podtrzymywana jest przez nieprzekonującą i popadającą wręcz w hipokryzję i fałszywą skromność retorykę, głoszącą, że jesteśmy małuczkami strażnikami wielkich filozofów, że jesteśmy karłami na ramionach olbrzymów, że (jak należy się domyślać) nasze głowy wystają nad głowy tych olbrzymów itd. To wszystko razem brzydko pachnie, jest nieprzekonujące, jest w tym dużo skrywanego zarozumiałstwa oraz kompleksów. Sprawy tak się mają zwłaszcza w krajach marginalnych politycznie, gdyż geograficzny rozkład prestiżu literackiego i intelektualnego jest tylko kalką topografii politycznej. Wybitny filozof polski to taki, który pisze eseje o jakimś wybitnym filozofie zachodnim, który z kolei pisze, o czym chce. Polak występuje tu w roli reprezentanta „swojego” autora (martwego lub żywego), którym się „zajmuje”.

Generalnie wszystko to jednak staje się z czasem coraz mniej potrzebne. Ludzie są skłonni czytać książki o wielkich autorach, np. o Szekspirze — i gdy powstaje tych książek coraz więcej, to jednak są one w jakiś sposób pożądane, natomiast tysiączne książki o autorach filozoficznych już nie mają publiczności, bo sami filozofowie raczej nie mają większej publiczności. Nie można liczyć na to, że kiedy np. ja napiszę książkę o *Krytyce czystego rozumu* Kanta i jeżeli nawet to będzie niezła książka, to przeczyta ją ktokolwiek inny niż ktoś, kto ma zamiar zagospodarować ją na użytek napisania takiej samej książki, za którą coś tam dostanie. Nie znam osoby, która przeczytała w całości *Krytykę czystego rozumu* Kanta albo *Naukę logiki* Hegla i która dostałaby za to mniej niż doktorat. Celem musi być co najmniej doktorat, żeby przebrnąć przez całe to dzieło. Cała ta biblioteka filozoficzna, cały ten tzw. kanon, który zdefiniowano w XIX w. (i bardzo dobrze, bo to jest podstawa do identyfikacji zawodowej), to są najczęściej lekkie eseje (niestety bardzo stare), a tylko niektóre pozycje mają charakter czysto naukowy. Takich książek prawie nikt nie czyta. Nie sądzę, by w kraju było chociaż dziesięć osób, które przeczytały

*Naukę logiki* Hegla, a jeżeli przeczytały, to i tak zapomniały. Dlatego nie ma sensu pisać o tym innych książek, bo mogłyby one zainteresować tylko tych, którzy życie poświęcają takim zagadnieniom. Widać tutaj daleko idący przerost. Ta kultura, kultura hermeneutyczna, tzn. kultura „stróżowania dziedzictwu” upadnie. W dodatku te wszystkie eseje filozoficzne, takie np. jak eseje filozoficzne Kierkegaarda nie są aż tak dobre, a w każdym razie nie zasługują na taką uwagę, jak książki pisane przez najwybitniejszych pisarzy. A jeśli ktoś myśli, że literaci nie filozofują, lecz inspirują się dziełami „klasyków filozofii”, to po prostu nie wie, jak to działa. Większość myśli filozoficznych, czy się nam to podoba czy nie, każdy inteligentny człowiek może sobie sam wymyślić. A wybitni pisarze inteligentni są.

Drugą metodą na znalezienie dla siebie miejsca w przestrzeni akademickiej i umoszczenia sobie jakiegoś gniazdka był projekt filozofii naukowej, takiej, która będzie produkować naukę w najogólniejszej, interdyscyplinarnej, unifikacyjnej czy unitarnej warstwie. To był projekt pozytywistyczny, który był przedwczesny, nie dało się bowiem wtedy dokonać translacji zagadnień filozoficznych na naukowe, bo nauki były jeszcze za mało dojrzałe, a osoby, które realizowały to zamierzenie programowo, nie studiowały filozofii i nie były dobrze zorientowane w tym zasobie myśli, które filozofia już wyprodukowała. Ten projekt nie wyszedł, jednak zaowocował filozofią analityczną, która z większym powodzeniem to właśnie czyni. Jednakże filozofia taka tylko wtedy zdobywa autorytet, gdy zamienia się w wewnętrzną działkę jakiejś wąskiej dyscypliny naukowej. Tutaj był przywoływany przykład Tomasza Placka. Kiedy Placek chce, żeby go fizycy słuchali, musi przekroczyć tę barierę, poza którą już nie będzie się „mówić o filozofii”. Ta strategia jest strategią rozplywania się w przestrzeni naukowej. To się trochę udaje, ale wtedy już nie potrzeba szyldu filozofii. On nawet wtedy przeszkadza.

Konkluzja jest taka, że obie te dziewiętnastowieczne strategie przetrwania wyczerpały swoje możliwości i jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może sobie jeszcze do emerytury dożyć na starych zasadach.

Co możemy zmienić? Sądzę, że jest możliwość odejścia z godnością. Musielibyśmy w tym celu zrobić jakiś remanent dostępnych nam zasobów intelektualnych, czyli elementów filozofii (pojęć, argumentów itd., czyli, mówiąc po heglowsku, *określeń*). Zamiast *silva rerum*, zamiast góry oderwanych od siebie, prowincjonalnych monografii osób i tematów, zamiast całej tej rozproszonej erudycji historyczno-filozoficznej, będącej tylko pewnym zasobem wiedzy filologicznej i filozoficznej, powinniśmy się zdobyć na systematyczne, synoptyczne i prawdziwie teoretyczne znanstwo zagadnień i pojęć ogólnych, czyli znanstwo filozofii, filozofioznawstwo czy też „heurystykę filozoficzną”. Wtedy pozostałoby po nas przynajmniej coś konkretnego. Tymczasem ktoś dzisiaj posiada umiejętność wystarczająco wszechstronnej analizy, wystarczająco sprawnego przemieszczania się pomiędzy poziomami refleksji i kontrolowanego przechodzenia dialektycznych okresów, pełnego operowania zasobami językowymi w zakresie teoretycznym (filozoficznym)? Nikt. Bo każdy

tylko swoją rzepkę skrobie, jak i dawniej skrobał. To wstyd, że „suma” filozofii nie jest żadną teorią, lecz albo po prostu erudycją w zakresie nauki historii filozofii, albo autorskim systemem. To wstyd, że nie ma tej trzeciej drogi, prawdziwego znawstwa w zakresie teorii. To wstyd, że nie ma naukowej wiedzy o pojęciach. Wiedzy, którą można by wykładać w szkole. Jeśli na zakończenie dziejów filozofii wiedzy takiej nie stworzymy, to za kilkaset lat po olbrzymach i po karłach zaginie wszelka pamięć, a *philosophia perennis* okaże się kulturowym epizodem.